Wszelkiej pomyślności w Nowym Roku 1990 życzy Czytelnikom i Współpracownikom zespół „Widnokręgu"

WIDNOKRĄG

RZESZÓW
Nr 1 (1012)
2.01. 1990 r.

• KULTURA • NAUKA • OŚWIATA •

PROMOCJE IM. ADAMA DIDURA SANOK '89

Bogdan Hućko

NIEPROWINCJONALNIE NA PROWINCJI

JUŻ W OKOLICZNOŚCIOWYM ZAPROSZENIU postawiono pytania: Czy go znamy? Na ile go znamy? Właśnie — kim był Adam Didur. Dla Wacława Panka — „basem wszechczasów". Dla licealistki z Sanoka — „podobno wielkim artystą". Dla Marii Foltyn — „wspaniałym, przystojnym mężczyzną, którym byłam i jestem nadal zauroczona". Dla przypadkowego młodego człowieka, zagadniętego na ulicy — nie wiadomo kim. Dla starszej kobieciny spieszącej na niedzielną mszę do kościoła — jakimś śpiewakiem. Młoda dziewczyna, modnie ubrana w peweksowskie ciuchy czekająca przed sanockim kinem „Pokój" — nigdy nic nie słyszała o takim człowieku. Dla Wojciecha Dzieduszyckiego — był wielkim artystą, o jeszcze większej prostocie życia i skromności. Dla kobiety objuczonej udanymi (?) zakupami w handlową niedzielę stojącej w następnej kolejce do sklepu, którego witrynie umieszczono okolicznościowy plakat „Promocji" — nazwisko artysty brzmi obco. Dla ks. bp. Stefana Moskwy był wielkim ustalentowanym artystą, którego głosem zachwycali się wszyscy. Dla ostatniego, żyjącego i mieszkającego w Katowicach wnuka artysty, Adama Wiktora Didura — „dziadek kochał mnie jako swego następcę na scenie operowej". Dla primadonny Opery Lwowskiej Ludmiły Bożko, jest wciąż znanym, lubianym, mile wspominanym i wręcz czczonym w światku muzycznym Lwowa. Pamięć o nim w murach Opery Lwowskiej wciąż trwa...

Różne środowiska, różne opinie — od apologetycznych począwszy po zupełne zdziwienie, zakłopotanie i być może uczucie wstydu. Pamięć o nim zachowała się tylko wśród osób, które albo zetknęły się z nim, albo na zasadzie mody, snobizmu, zainteresowań poznały jego artystyczne osiągnięcia. Wraz z upływem czasu grono miłośników głosu mistrza malało. Koneserzy jego śpiewu odchodzili od nas na zawsze. Wymiana pokoleń w regionie, w którym urodził się, a który pozostawał kulturalną prowincją (nie ze względu na położenie geograficzne) i ulotna pamięć poczyniły spore spustoszenie: Zdaniem Marii Foltyn był to ostatni dzwonek, aby uratować imię „wielkiego syna pięknej sanockiej ziemi", od całkowitego zapomnienia. Jest takie powiedzenie — lepiej późno niż wcale — które w pełni oddaje zamysł organizacji imprezy muzycznej mającej w swoim przesłaniu być świętem ku czci wielkiego Adama!

Urodził się w Wigilię Bożego Narodzenia przed 116 laty w Woli Sękowej k. Sanoka. Na kilka dni przed kolejną rocznicą, z inspiracji wielkiej orędowniczki talentu mistrza Adama, ostatniej jego uczennicy Marii Foltyn, doszło — nie bez trudności i oporów, — do zorganizowania pierwszych.

„Promocji im. Adama Didura"

Odbyły się one w Sanoku (15—17 grudnia). „Promocje" zorganizowane wspólnymi siłami miejscowych zakładów pracy, placówek kulturalnych z Sanockim Domem Kultury na czele, nad którymi patronat objęła Fundacja Kultury Polskiej i Towarzystwo Miłośników Muzyki im. Stanisława Moniuszki w Warszawie, były od niepamiętnych czasów pierwszą — na taką skalę — imprezą kulturalną na Podkarpaciu. Do Sanoka zjechały gwiazdy polskiej sceny operowej: Bogna Sokorska, primadonna Teatru Wielkiego w Warszawie — Hanna Rumowska, i Pola Lipińska z Teatru Wielkiego w Warszawie. Z wielkich nieobecnych zabrakło — wcześniej awizowanego — Andrzeja Hiolskiego, (pierwszy baryton Teatru Wielkiego w Warszawie). Nasze gwiazdy wystąpiły w koncercie galowym poświęconym patronowi imprezy. Świetnie w pierwszym dniu „promocji" zaprezentowali się również goście z Lwowa. Młody, niespełna 30-letni bas Aleksander Telyha zachwycił swoim występem nie tylko sanocką publiczność, ale również wytrawne grono obserwatorów, krytyków muzycznych i koneserów muzyki operowej. Równie wysoko oceniono występ primadonny Opery Lwowskiej Ludmiły Bożko. Koncert, który rozpoczął się polonezem z opery „Eugeniusz Oniegin" Piotra Czajkowskiego, w wykonaniu orkiestry Filharmonii Rzeszowskiej (dyrygowali Igor Lacanycz z Lwowa i Jeremi Gieysztor), stał na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Prezentowane arie z utworów G. Verdiego, C. M. Webera, P. Mascagniego, G. Bizeta, Ch. Gounoda, R. Wagnera, St. Moniuszki sprawiły, że w sali sanockiego Domu Kultury powiało wielkim światem czarującej muzyki. Dopisała publiczność, znająca się na muzyce, wypełniająca — prawie w komplecie — widownię Domu Kultury nie z przymusu (bo tak trzeba, nie wypada nie przyjść), ale z autentycznej potrzeby delektowania się muzyką i śpiewem w wykonaniu pierwszego garnituru artystów polskich scen operowych.

Rozsmakowana pierwszym koncertem stawiła się w komplecie w sobotni wieczór, aby tym razem oklaskiwać młode talenty w koncercie promocyjnym. Sanoccy melomani tak ciepło przyjęli solistów — studentów, że ci ostatni w kuluarowych rozmowach dzieląc się wrażeniami po występie jeszcze długo wspominali spontaniczną reakcję publiczności. Młodzi artyści to jednak nie nowicjusze, może z wyjątkiem Jolanty Janucik (sopran), z Akademii Muzycznej w Warszawie i Małgorzaty Walewskiej (mezzosopran) studentki II roku tej samej warszawskiej uczelni. Ta wystąpiła po raz pierwszy z orkiestrą co w pełni usprawiedliwia jej

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

ZAUROCZENIE

Rozmowa z MARIĄ FOŁTYN — dyrektorem artystycznym Promocji im. Adama Didura w Sanoku

— WOKALNE SPOTKANIA W SANOKU zmuszają do refleksji nad osobowością patrona tej imprezy...

— Ależ oczywiście. Wreszcie po latach znów go wspominamy.

— Zanim poświęcimy w naszej rozmowie więcej miejsca temu wybitnemu artyście, proponuję, aby Pani opowiedziała jak doszło do zorganizowania tej muzycznej imprezy. Wtajemniczeni twierdzą, że gdyby nie Maria Foltyn, to nie byłoby „Promocji im. Adamy Didura" w Sanoku...

— Dwa lata temu byłam w Jaśle na uroczystej akademii z okazji kolejnej rocznicy wyzwolenia miasta. Tyle się nasłuchałam o bohaterskich wyzwolicielach, że już miałam tego wszystkiego dosyć. Nie jestem przeciwna oddawaniu hołdu poległym żołnierzom, ale wszystko ma swoje granice. I właśnie wtedy, w obecności dyrektora Jasielskiego Domu Kultury, władz miasta i województwa, oficerów Wojska Polskiego, zaproszonych gości — nie wytrzymałam. Obraziłam zapewne wielu z nich, ale już dłużej nie mogłam milczeć. Powiedziałam wtedy tak: Wasza ziemia posiada bohatera, o którym prawie nikt nie wie. Jemu nie organizuje się żadnych świąt. Pozostaje w cieniu wielu innych postaci. Powiedziałam tak dlatego, bowiem w moim pojęciu Adam Didur był największym śpiewakiem w historii polskiej muzyki. A wyrósł właśnie z tej sanockiej ziemi. Następnie — półtora roku temu — przebywałam na kuracji w Iwoniczu-Zdroju. Wtedy też zaczęłam rozmawiać z wojewodą Tadeuszem Krukiem. Proponowałam nadanie imienia Adama Didura ulicom lub szkołom, aby to nazwisko zaczęło ponownie żyć pełnym blaskiem. Rozmowy były widocznie skuteczne, bo finalizowanie „Promocji" trwało zaledwie miesiąc. Ja proponowałam termin w połowie października, bo uważam, że to najpiękniejszy miesiąc w tym regionie. Wspaniała jesień, te cudowne liście, nastrój... to byłoby to. Ale mówi się trudno — widocznie wtedy nie mogli, nie mieli pieniędzy, może coś innego zadecydowało... zorganizowanie promocji to była akcja, która się udała. Pomogli mi w tym przede wszystkim Franciszek Hamerski, Jeremi Gieysztor, Mieczysław Kozimor, Tadeusz Kruk i wielu innych. Te dni poświęcone Adamowi Didurowi zaistniały dzięki m. in. ich ofiarności. Ostatnia rozmowa z nimi, przed organizacją „Promocji", trwała u mnie w Warszawie długo.

— Jest Pani ostatnią uczennicą Adama Didura i darzy go Pani — z tego co wiem — ogromną sympatią.

— Poznałam go w 1944 roku w Warszawie. Moje rodzinne miasto Radom wysłało mnie jako początkującą, śpiewającą po kościołach, na przegląd do Warszawy. Tam spotkałam Adama Didura w kamienicy przy ul. Wareckiej 13. Mieszkanie to istnieje do dzisiaj. Tam poznałam również m. in. Lesława Fince i Tadeusza Bursztynowicza. Zawsze otaczał się ludźmi kultury. Był tam plan ludzi, których przygarnął ze Lwowa. Wojna zastała Adama Didura w Warszawie. Dlatego ściągnął tu wszystkich swoich uczniów i studentów. To mieszkanie przy ul. Wareckiej 13 nie było tylko kuźnią głosów. Mieściła się w nim również jedna z komórek Armii Krajowej.

— Co utkwiło Pani w pamięci szczególnie z tych pierwszych kontaktów z artystą?

— Za pobierane u niego lekcje nie chciał ode mnie żadnych pieniędzy. Do czasu wybuchu powstania warszawskiego, udzielał mi lekcji. Po wkroczeniu wojsk radzieckich do Warszawy, Aleksander Zawadzki przekazał mu Operę Śląską w Katowicach, bowiem stolica była zniszczona. W Katowicach byłam w klasie u Adama Didura do dnia jego śmierci 7 stycznia 1946 roku. Był to dzień, w którym byłam na jego lekcji. Zmarł na wylew do mózgu. Bardzo to przeżyłam, rozchorowałam się. Do dzisiaj pamiętam jego pogrzeb. To było okrutne przeżycie.

— Jakim był Adam Didur?

— Zwracałam się do niego zawsze, Mistrzu. Dla niego byłam po prostu: Mery. Tak się do mnie zwracał. To był wspaniały, przystojny mężczyzna. Kochałam go, co muszę podkreślić z całą otwartością. Wtedy jako

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

Wacław Burzmiński

„SPUTNIK" DROHOBYCZ – „FREDREUM" PRZEMYŚL

GRAJĄ, CHOĆ NIE MUSZĄ...

Marian Grypa, chłop na schwał, ojciec pięciu córek, wrócił prosto z trasy. Za kółkiem już dwadzieścia sześć lat. W teatrze — niewiele krócej.

— Żona wielokrotnie domagała się: „Marian, zostaw to! Ty masz dom, rodzinę, obowiązki. Niech teraz młodsi pokażą, co potrafią" — zwierza się nieprofesjonalny aktor. — Ale mnie wciąż trudno odejść. Mamy tu taką fajną „pakę", znamy się od wielu lat, pomagamy sobie nie tylko na scenie...

Lekarz **Mychajło Karpin** związał się z amatorskim teatrem jeszcze w 1962 roku. Należy do seniorów trupy.

— Dwadzieścia lat temu gościliśmy u siebie teatr ze Stalowej Woli, który wystąpił z „Namiestnikiem" Rolfa Hochhutha — przypomina. Sztuka ta porusza problemy narodowościowe żydowskiej obrony jej praw, a ponieważ sam jestem Żydem, bardzo ją przeżywałem.

— Niech żyje naród polski! — wykrzyknął, wznosząc toast.

Amatorski teatr „Sputnik" jest jednym z szesnastu zespołów artystycznych, działających w Miejskim Domu Kultury w Drohobyczu. Sześciu z nich nadano tytuł: ludowy. Obok chóru „Legenda", kina studyjnego „Prometeusz", kapeli akordeonistów i harmonistów, zespołu tanecznego „Wodograj" i kapeli skrzypków, tym zaszczytnym mianem, przyznawanym za duże osiągnięcia w rozwoju amatorskiej twórczości, pochwalić się może także „Sputnik".

— Dzięki temu, teatr otrzymuje fundusze bezpośrednio z Ministerstwa Kultury Ukrainy i jest samowystarczalny — mówi **Adam Kiszko**, dyrektor MDK w Drohobyczu. — Ogółem na własnym rozrachunku znajduje się połowa naszych zespołów. Staramy się zarabiać na siebie, m. in. poprzez płatne występy, dyskoteki, udostępnianie stołów bilardowych. W sumie zatrudniamy na etatach 65 pracowników. Ich wysiłek nie idzie na marne. Nasza placówka już po raz drugi z rzędu zajęła pierwsze miejsce w republice we współzawodnictwie miejskich domów kultury, organizowanym przez Radę Związków Zawodowych i Ministerstwo Kultury.

Witalij Mielnyczuk, od 1979 roku kierownik i reżyser „Sputnika", a wcześniej — jeden z jego aktorów, oprowadza po sali, gdzie utrwalono prawie całą historię amatorskiego teatru z Drohobycza. W styczniu 1990 r. minie akurat równe 30 lat od debiutu „Sputnika". Na początek nieprofesjonaliści wystąpili z „Przebiśniegami" Andrieja Jewtamprijewa, pisarza wywodzącego się z tych stron. A już kilka miesięcy później spotkało ich spore wyróżnienie — występ na scenie teatru Kremlowskiego. Wykonanie „Miłości o poranku" Jarosława Gałana spotkało się z życzliwym przyjęciem miłośników Melpomeny i krytyków.

Bliskie kontakty ze „Sputnikiem" utrzymuje również żona Witalija — Ałła, reżyser oraz projektantka kostiumów do poszczególnych sztuk. Niegdyś zmusiła do pozostania w Drohobyczu młodego górnika z Doniecka, który następnie został jej mężem. W ich ślady podąża też 16-letni syn Ruslan, mający już za sobą sceniczny debiut. Niedaleko pada jabłko...

— Mamy około dwudziestu stałych aktorów, to znaczy takich, którzy występują w teatrze po dziesięć i więcej lat — „zdradza" skład osobowy „Sputnika" Witalij. — Są wśród nich robotnicy, nauczyciele, lekarze, uczniowie, studenci. Seniorką w tym gronie jest **Nina Syrokina**. Pozostała część zespołu jest płynna: jedni przychodzą, drudzy odchodzą do wojska, na studia, żenią się, rezygnują. Mieliśmy kiedyś w swoim teatrze takiego **Igora Musatowa**. Co to był za uparty chłopak! Siedem razy zdawał do Instytutu Kinematografii, aż swego dopiął. Dziś jest cenionym reżyserem filmowym. Niektórzy z naszych członków „przeskoczyli" kolejny szczebel scenicznego wtajemniczenia i występują obecnie w zawodowym ukraińskim muzyczno-dramatycznym teatrze im. Gałana, który ma swą siedzibę w Drohobyczu.

W repertuarze „Sputnika" jest ponad 70 sztuk ukraińskich, rosyjskich, zagranicznych, w tym także i polskich pisarzy. Teraz na tapecie — „Noc przed Bożym Narodzeniem" Mikołaja Gogola. Kilka lat temu wystawienie tej sztuki byłoby raczej niemożliwe. Dziś, kiedy naród sięga do swoich korzeni, religia staje się czymś normalnym, elementem życia. „Sputniczanie" chcą dać spektakl właśnie w noc przed ukraińskimi świętami Bożego Narodzenia. Wszystko jest zapięte na ostatni guzik.

Na scenie Miejskiego Domu Kultury w Drohobyczu — kosz kwiatów. Aktorzy przemyskiego teatru „Fredreum" jeszcze raz kłaniają się widowni, dziękując jej za ciepłe przyjęcie sztuki Aleksandra Fredry „Damy i huzary". **Irena Genejowa, Krystyna Steblińska, Zbigniew Stypułkowski, Janusz Ozór, Jerzy Rożko, Stefan Kuszyński** i inni, swą pełną temperamentu grą zaskarbili sobie uznanie publiczności.

— Wcale nie ustępujecie zawodowym aktorom! — podkreśla reżyser z miejscowego teatru im. Gałana.

— Serdecznie dziękujemy wam za przyjazd do Drohobycza — mówi wzruszona, związana ze „Sputnikiem", lekarka **Halina Kupcewicz**, w której żyłach płynie polska krew. — Dzięki temu mogliśmy usłyszeć dźwięczną, ojczystą dla części widzów mowę, poznać was osobiście, wymienić doświadczenia.

Pobyt członków Towarzystwa Dramatycznego im. A. Fredry „Fredreum" w Drohobyczu był rewizytą za wcześniejszy przyjazd do Przemyśla teatru „Sputnik", który przedstawił „Ordynansa Szelmenkę" Kwitky-Osnowianenki. Polskich gości — już na trasie wiodącej z Mościsk do Lwowa — powitano chlebem i solą.

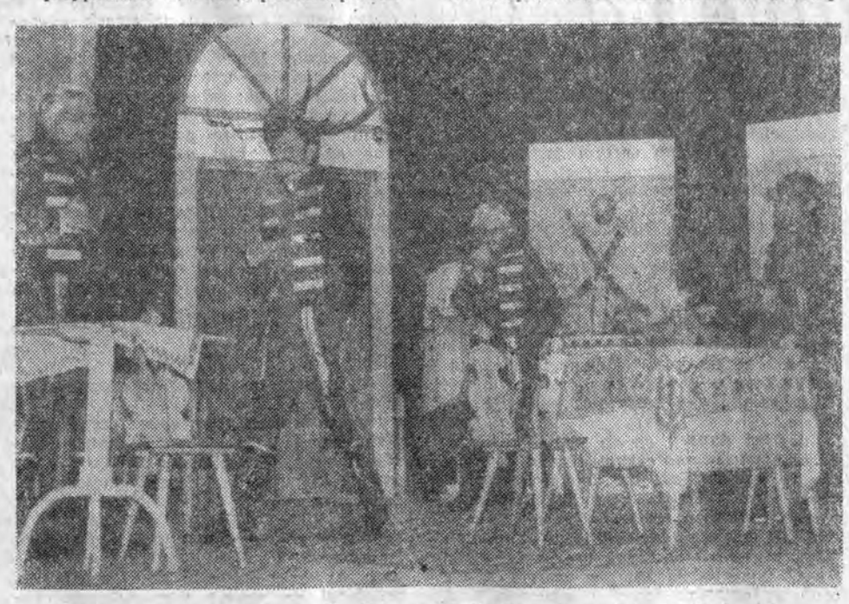

Scena z przedstawienia sztuki Aleksandra Fredry „Damy i huzary" w wykonaniu przemyskiego teatru „Fredreum". Fot. Archiwum

LAUREACI NAGRÓD LITERACKICH M. RZESZOWA '89

I stopnia

Jan Bolesław Ożóg

Na bosaka

Organy. Cichoł
Po klawiaturze srebrny dzwoni nagan
Mój „stary"
grać do kościoła chodzi boso.

To Nienadówka, nie Jerycho.
W tej oto chwili ksiądz sufragan
bramę otworzył
i na bosaka sieje proso

Na pętli zakwitłej szubienicy
różaniec zwisa i żmija
syczy
urwana nad płonącym kotłem

Przebita piką szyja —
Tatar czy bies.
Pod próg do bosych stóp Dziewicy
Król bosy zamiast berła niesie miotłę

Dom „turecki"

Przyjacielowi z Bułgarii

Dom, dom turecki za drogą,
z progiem otwartym na pola,
dom zadem do krzyża gwoździami,
wysoki jak tyczna fasola.

Na koła gumowe te buty,
te nogi na zdarte onuce,
przy stole z oKranem i śledziem
półksiężyc mu z Cypru przykuca.

Odwraca się tyłem do świata
i patrzą mu w okna dwie wiary,
Z jedną co rano wartburgiem
Kair kupuje za dolary.
Allach tymczasem mu na noc
do ziemi przygina się karkiem,
dom sobie chlebowy otwiera
dla świerszcza. I klatkę z kanarkiem.

II stopnia

Tadeusz Kubas

Ballada o aniołach

Dwa skrzydła ptaka
są skrzydłami życia
jak anioł biały
i jak anioł czarny

Mają anioły
swe przewodnie gwiazdy
anachroniczne
kolory umowne

Oba anioły
grają o moją duszę
Obu aniołom
na tę grę przyzwalam

Ptak łamiąc skrzydło
traci równowagę
spada bezwiednie
na dno mego losu

Jedno życie

czym jest ta chwilka
w czasie wiecznym

nie jest to kropla
w oceanie

ni ostrze szpilki
wbite w przestrzeń
oto najmniejsza miara

Czasu
jako śmierć
nowo narodzona

z nikim nie dzieli
swego tronu
Czas —
Bóg największy
nieprzekupny

zabiera tyle
ile daje

niezsytych złota
karmi ziemią

W salonach wystawowych

SEN O LATANIU

Praca Stanisława Wywcóla „Upadek II" *Fot. T. Budziński*

OGÓLNOPOLSKA WYSTAWA MALARSTWA WSPÓŁCZESNEGO w rzeszowskim Domu Sztuki, nazwa wiele obiecująca, a jednak sale wystawowe nie różnią się wcale od normalnych prezentacji środowiskowych. Oczywiście chodzi o tradycyjną wystawę, już XII Jesienne Konfrontacje.

Wiele można by pisać o historii tej imprezy, o jej pretensjach do wydarzenia artystycznego w plastyce polskiej, o tym, że był czas, kiedy pretensje nie były ani tak naiwne, ani pretensjonalne. Wydaje się, iż z tego wszystkiego pozostała obecnie przede wszystkim dumna nazwa. Co wcale nie musi znaczyć, że wystawa ta przy zachowaniu właściwych dla Rzeszowa proporcji przestała być imprezą żywotną, a nawet potrzebną.

Trwa już dwadzieścia kilka lat i wszyscy zdążyli się do niej przyzwyczaić, tak jak do reklamujących ją plansz, w tym roku bardzo smutnych biało-popielato-czarnych, zdolnych raczej wycisnąć łzy niż zachęcić do odwiedzenia Domu Sztuki.

Będzin, Racibórz, Żywiec, Widawa, Ochle, Kalisz, Łomża, Wołomin, Częstochowa, Olkusz to zasięg geograficzny aktualnych konfrontacji i obrazu tej peryferyjności wcale nie zmienia fakt uczestnictwa kilku plastyków z Krakowa czy plastyków z Łodzi, Szczecina, Wrocławia. Nawet udział artystów, których nazwiska często powtarzają się przy okazji tego rodzaju wystaw jak **Erazma Kalwaryjskiego, Tadeusza Hajnrycha** czy **Olgierda Bierwiaczonka.**

Dzięki takiemu charakterowi są Konfrontacje okazją dla debiutantów pracowicie zaczynających gromadzić dane do not biografii artystycznych. Dla części z nich zwłaszcza z uczelni plastycznych o mniejszej renomie (profil pedagogiczny) udział w tej prezentacji będzie stanowił swoistą legitymację poziomu artystycznego.

Wszystkie trzy nagrody i dwa wyróżnienia są ostrożnym kompromisem pomiędzy malarską dojrzałością a nawet rutyną a młodzieńczą ekspresją i lekceważeniem ustalonych norm. Można uznać, iż werdykt ten honoruje tytułową zasadę konfrontacji postaw. Chociaż nie wydaje się, żeby postawy te były od siebie tak odległe, że aż konfrontacyjne. Nagroda I „Ingerencja II", „Rozpad", „Przemiana" abstrakcje **Alfreda Kuda,** których gwałtowność i temperaturę wycisza podporządkowanie klasycznym zasadom kompozycji malarskiej i Nagroda III **Olgierda Bierwiaczonka** akademicka niemal martwa natura „Kilka samotnych dni" wcale nie są aż tak przeciwstawne być może dlatego, że są to artyści z tego samego pokolenia. Pozostałe nagrody i wyróżnienia dla artystów młodych **Mirosława Ciślaka** II Nagroda, **Piotra Wójtowicza** III Nagroda, **Macieja Majewskiego** i **Stanisława Wywcóla** wyrażają swój stosunek do współczesności językiem metafory malarskiej pozoronie lekceważącej klasyczne formuły, a jednak podporządkowanym zasadom ogólnie przyjętej estetyki.

Z artystów rzeszowskich wystawiają oczywiście **Ryszard Dudek** i **Leszek Kuchniak,** a to co pokazali nie odbiega charakterem od prac wystawianych na kolejnych wystawach dotychczasowych. Myślę, że należy zwrócić uwagę na prace **Małgorzaty Balawender-Hibsz** laureatki nagrody za tegoroczny debiut wspólnie z **Maciejem Majewskim.** Artystka znana była dotychczas przede wszystkim z publikacji grafiki wydawniczej, dobrze byłoby, żeby dalej kontynuowała prezentację swoich prac. Wystawia także **Barbara Burówna,** której twórczość znana jest głównie z Galerii PSP. Pokazana na wystawie głowa w surrealistycznej konwencji nie należy do jej najlepszych prac. Pełne lekkości i malarskiej urody są trzy prace Mariana Ziemskiego „Sen o lataniu I", „Sen o lataniu II" i „Na cokole".

Mimo wszelkich zastrzeżeń wystawę na pewno warto zobaczyć. To, że nie prezentuje ona wiodących czy po prostu modnych w sztuce polskiej kierunków i tendencji nie znaczy wcale, iż nie ma tam obrazów zwyczajnie dobrych, czy jeszcze zwyczajniej ładnych. Pewno ta zachęta będzie swego rodzaju „wołaniem na puszczy", ale sale wystawowe bez zwiedzających nie są specjalnością wyłącznie rzeszowską, co może być rodzajem pocieszenia, ale nie powinno być usprawiedliwieniem.

JULIAN ATAMAN

NIEPROWINCJONALNIE NA PROWINCJI

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

częściowe potknięcie: Natomiast student IV roku Przemysław Firek (bas) jest już solistą Opery Krakowskiej. Jego głos został wysoko oceniony. Podobnie jak i Doroty Radomskiej (sopran) z Akademii Muzycznej w Warszawie. Największą jednak furorę zrobiła swoim występem (aria Cherubina z opery „Wesele Figara" W. A. Mozarta i aria Rozyny z opery „Cyrulik Sewilski" G. Rossiniego) solistka warszawskiej Opery Kameralnej Eugenia Mirosława Rezler, która kilka razy bisowała. W tej ostatniej „konkurencji" równie długo przebywał na scenie Aleksander Telyha, który ponownie wystąpił w koncercie promocyjnym. Dyrektor artystyczny „Promocji", czuwająca nad całością imprezy Maria Fołtyn w rozmowie z dziennikarzem stwierdziła, iż koncert młodych talentów miał najlepszą w tej chwili obsadę młodych. „Mam doskonałe rozeznanie na rynku muzycznym — dodała — i do Sanoka przywiozłam najlepszych"!

Msza i kwiaty

Ostatni dzień „Promocji", był najważniejszym w oddaniu należnej czci i przywróceniu potomnym pamięci „Mistrza Adama". Nadano temu dniu też należną oprawę. Uroczystości upamiętniające związki artysty z ziemią sanocką rozpoczęły się w godzinach przedpołudniowych mszą świętą odprawioną w jego intencji i koncelebrowaną przez ks. bp. Stefana Moskwę w kościele Przemienienia Pańskiego w Sanoku. Ks. biskup nie omieszkał w okolicznościowej homilii podkreślić wielkości artysty z Sękowej Woli. Podczas nabożeństwa, w którym wzięli udział artyści — uczestnicy „Promocji", organizatorzy, zaproszeni goście m. in. Halina i Wojciech Dzieduszyccy i ostatni żyjący wnuk artysty Adam Wiktor Didur z Katowic, a także mieszkańcy Woli Sękowej i liczne rzesze sanoczan — wykonane zostały przez artystów cztery utwory muzyczne. Aby tradycji wspomnieniowej stało się zadość, złożono kwiaty na grobie córki artysty Olgi Didur — Wiktorowej, znajdującym się na sanockim cmentarzu, a także przed obeliskiem upamiętniającym rodzinne korzenie artysty w jego rodzinnej wsi Woli Sękowej.

Salon muzyczny w zajeździe

W stylowej piwnicy w zajeździe sanockiego Zamku, niedzielnym późnym popołudniem urządzono wieczór wspomnień o artyście. Z obrazu, pędzla malarza Jerzego Wojtowicza, spoglądał z zadumą na twarzy, jakby uczestniczył w spotkaniu, wielki śpiewak. Przy zapalonych świecach i akompaniamencie pianina śpiewali Przemysław Firek, Hanna Rumowska, Ludmiła Bożko, Eugenia Mirosława Rezler i Aleksander Telyha. Wcześniej z taśmy magnetofonowej zabrzmiał — po latach — utrwalony głos Adama Didura nagrodzony rzęsistymi brawami zebranych. U wielu, którzy go pamiętali, słyszeli przed laty, zakręciła się w oku łza. Wspomnienia przeplatane występami artystów snuł przede wszystkim Wojciech Dzieduszycki, opowiadając ze znaną swadą wiele anegdotek, zabawnych historyjek z życia artysty, które wprowadziły powszechną wesołość. Wtórowała mu w tym Maria Fołtyn, która nie omieszkała z tego powodu „przepytać" na okoliczność pobytu wnuka artysty. Każdy szczegół dla pani Marii okazał się ważny, również ten, że Adam Wiktor nie poszedł w ślady dziadka, o co ten zabiegał, nie powiodło mu się na scenie i zajął się rzemiosłem. Jak w takich chwilach przywoływania w pamięci szczegółów z życia rodziny Didurów (szczególnie córki Olgi, a matki Adama Wiktora) nie zabrakło plotek i ploteczek, opowiastek tracących myszka ze światka artystów rządzących się własnymi prawami. Wiele nowego wniosły wspomnienia rodowitych sanoczan znających Olgę Didur — Wiktorową. Rodzinna atmosfera panująca w piwnicy zajazdu miała niepowtarzalny urok. Wieczór wspomnień zakończył występ zespołu muzyki dawnej z I LO w Sanoku, prowadzonego przez Stefana Olberta. Wojciech Dzieduszycki żegnał wszystkich do następnej edycji „Promocji" im. Adama Didura, które w tym roku nie miały jeszcze formuły konkursowej.

Towarzyszyły imprezie wystawy: biograficzna (dokumenty, wycinki prasowe, wiele zdjęć artysty autorstwa Wacława Panka). „Pamiątki starego Lwowa" pochodzące ze zbiorów Towarzystwa Miłośników Lwowa w Jarosławiu oraz zbiorów prywatnych mieszkańców Sanoka, a także wystawa prac malarskich Jerzego Wojtowicza. Władysława Nabywaniec z Sanoka ofiarowała sześć pięknych stroików świątecznych, z których dochód w loterii fantowej przeznaczony został na fundusz pomocy dzieciom. Sanoccy harcerze sprzedawali ponadto okolicznościowe kartki pocztowe.

Twórcy spotkania

Wszyscy napracowali się aby „Promocje" wypadły jak najlepiej. Społecznemu Komitetowi na czele z Mieczysławem Kozimorem należą się duże słowa uznania. Debiut w tej roli wypadł poprawnie. W tym miejscu warto przytoczyć dwa szczegóły: programy na obydwa koncerty były drukowane tuż przed występami w sanockiej drukarni. (nie było więc żadnych w nich zmian — brawo! i — przezorni organizatorzy spodziewając się najazdu dziennikarzy (i tu się przeliczyli) uruchomili nawet biuro prasowe!

Czy „Promocje" stanął się, cykliczną imprezą? Dzisiaj za wcześnie o tym przesądzać. Wiele osób z stolicy na czele z Marią Fołtyn jest o tym święcie przekonanych. Miejscowi, zmęczeni trzydniową bieganiną, nie byli skorzy do wyrażania sądów na powyższy temat. Złudzeń pozbyli się po przybyciu ekipy TV polskiej, która — co prawda — zjechała do Sanoka, ale za to ze sprzętem pamiętającym raczkującą telewizję w naszym kraju. Na osłodę pozostało regionalne radio.

Czy zatem „Promocje" są potrzebne Sanokowi i regionowi? Bez wahania należy odpowiedzieć tak! Wypełniają nieco kulturalną pustkę. Maria Fołtyn dodałaby do tego: „przybliżają środowisku świat, w którym żył syn tej ziemi". Euforia, uniesienie, zachwyt mijają szybko. Pozostaje proza życia bardziej siermiężna na Podkarpaciu niż w stolicy. I dlatego sanoczanie są realistami...

BOGDAN HUĆKO

ZAUROCZENIE

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

młoda dziewczyna, byłam nim zauroczona. Proszę napisać, że między nami nic nie było, ale mnie wtedy żaden młody mężczyzna nie interesował. To był wspaniały człowiek, pełen duchowej ekspresji.

— Inaugurując „Promocje" powiedziała Pani, że istnieją nieboszczycy, których kocha się ponad wszystko i zawsze. Obok Stanisława Moniuszki, Ignacego Paderewskiego wymieniła Pani również Adama Didura.

— Niektórzy mają mi za złe, że kocham nieboszczyków. W światku artystycznym jest wielu ludzi niedobrych, okrutnych, zawistnych, przepojonych nienawiścią, zazdrością... dla mnie szacunek dla umarłych, pamięć o nich jest swoistym oczyszczeniem. Nie wiem czy pan potrafi mnie zrozumieć. Ta pamięć o tych, co odeszli, jest ratunkiem własnej psychiki. Wierzę w jakąś łączność z nimi, możliwość porozumienia duchowego z kimś, kogo się kochało, wielbiło. To sprawia mi przyjemność. Marzę i pragnę; abyśmy zawsze mogli o nich mówić, wspominać ich postacie. Tym samym przywołuję ich do życia. Część ludzi pozostanie na zawsze w nieznanych mogiłach, o których nikt nie pamięta i to jest bardzo przykre. Moja pamięć o nich jest moją modlitwą. Ja tak rozumiem pojęcie katolicyzmu. Nie klepanie pacierzy, ale zrobienie czegoś, co ma znaczenie i komuś, albo czemuś służy. Adam Didur był człowiekiem wierzącym.

— Czy spodziewała się Pani, że po tylu latach zapomnienia pamięć o „basie wszechczasów" ożyje ponownie?

— Wiedziałam, że pamięć o nim zanika. Człowiek musi mieć trochę szczęścia, żeby w porę się urodzić i w porę umrzeć. Adam Didur umarł za wcześnie, chociaż w wieku 73 lat. Gdyby żył dłużej i tworzył po wojnie, pamięć o nim byłaby silniejsza. Wielu ludzi, którzy go znali, już nie żyje, jak np. Franciszek Arno. Jest to ostatni moment, aby utrwalić to, co w ludzkiej pamięci na zawsze — ze strzępów wspomnień — pozostało. Nie wolno nam zapomnieć o nim całkowicie. Żyją świadkowie jego kariery i jego zasług dla kultury narodowej. Za kilka lat byłoby za późno. Adam Didur przegrał popularnością m. in. z Janem Kiepurą, którego rozreklamowali m. in. Jerzy Waldorff, Bogusław Kaczyński, Wacław Panek. Kariera Jana Kiepury była błyskotliwsza. Zresztą tenor jest bardziej akceptowany przez publiczność. Jan Kiepura śpiewał piosenki i grał w filmach, które rozsławiły go bardziej niż opera. Śpiewał muzykę lekką, łatwo wpadającą w ucho. Adam Didur natomiast zrobił karierę wyższej rangi artystycznej. Inne miał też zejście ze sceny. Era piosenki zdominowała świat. Dzisiaj jest podobnie. Nawet wybitny aktor dramatyczny jest mniej znany — powiedzmy — w roli Ryszarda III niż jako piosenkarz. Stąd coraz częściej i coraz więcej aktorów śpiewa piosenki aktorskie, aby zostać popularnymi. Świat przewrócił się do góry nogami. W modzie są lekkie kariery, pójście na łatwiznę. Adam Didur nigdy się na to zgodzić nie chciał.

— Przyjeżdżając do Sanoka zrobiłem minisondę wśród przypadkowo spotkanych ludzi. Większość z nich o Adamie Didurze nie słyszała nic...

— To nasza wina. Tylko my, Polacy, jesteśmy tak niewdzięczni swoim wielkim rodakom. Wszystkie narody sąsiadujące z nami kultywują pamięć o synach swoich narodów, którzy dokonali wielkich osiągnięć. A takim właśnie był Adam Didur. To, co osiągnął, zawdzięcza ciągłej walce, wytrwałości, ciągłej chęci pracy, dokształcania się, uczenia języków obcych. To był ogromny wysiłek. My — niestety — tego nie doceniamy, a nawet zapominamy. W Stanach Zjednoczonych imię Adama Didura wybite jest tłustą czcionką we wszystkich encyklopediach, opracowaniach.

— W świecie zdobył nieśmiertelną sławę, ale zawsze podkreślał polskość.

— Tak, ale Adam Didur zyskał swoją osobowością sympatię, szacunek i uznanie. W przeciwieństwie do wielu innych artystów m. in. Fiodora Szaliapina, prowadził żywot wytwornego, lecz zarazem skromnego i szlachetnego człowieka. Jeżeli teraz patrzę na polski Senat i polskich senatorów, to sądzę, że noszą się za wysoko. Wielkie postacie, z którymi spotykam się w świecie, ujmują skromnością. Takim był też Adam Didur. Był szalenie inny od pozostałych, interesujący i czarujący, po prostu naturalny. Miss Świata Aneta Kręglicka powiedziała, że popiera naturalność bycia i żadnej roli podczas wyborów nie grała. Dlatego bardzo mi się podoba. Jest to właśnie sposób na sukces w świecie. Amerykański sposób bycia, zwracania się poprzez formę bezpośrednią, lecz zarazem związany z tym szacunek do drugiego człowieka. My, Polacy poprzez swoją tytułomanię jesteśmy prowincjonalni. Adam Didur natomiast nie był prowincjonalny.

— Obecność Pani, damy scen operowych Polski i Świata, w Sanoku to nobilitacja dla „Promocji". Czy sądzi pani, że wejdą one na stałe do repertuaru imprez muzycznych w naszym kraju?

— Początki są zawsze trudne. Uważam, że wszystko, co jest bogate w kulturze należy pokazać. A takim bogactwem jest dorobek Adama Didura. Myślę, że jako organizatorka trzynastu festiwali moniuszkowskich w Kudowie-Zdroju, mająca pewne doświadczenia na tym polu, mogę stwierdzić, że „Promocje" pozostaną stałą pozycją kulturalną w naszym kraju. Pamięć o Adamie Didurze pozostanie dla przyszłych pokoleń na zawsze. Żałuję trochę, że nie udało się wcześniej zorganizować święta ku czci Adama Didura. Dzisiaj podczas tych pierwszych „Promocji" jestem bardzo szczęśliwa, a zarazem przejęta do tego stopnia, że po pierwszym koncercie nie mogłam długo zasnąć. Poprzez przywołanie jego imienia do pamięci współczesnych sprawiamy, że jest on wciąż obecny wśród nas. „Promocje" to nie tylko impreza dla koneserów, melomanów. Chcemy tą imprezą pokazać środowisku sanockiemu wszystko, co jest ze świata. Aby przybliżyć ten świat, w którym był Adam Didur, wielki syn tej ziemi. Dzięki niemu Sanok nie jest prowincją!

Rozmawiał BOGDAN HUĆKO

Andrzej Potocki

KRAINY NIEZNANE

Legendy leskiego kamienia (I)

JADĄC W BIESZCZADY, do Soliny i Ustrzyk Dolnych, nie sposób nie zauważyć tuż za Leskiem, wysokiej, samotnie sterczącej skały. Mylą się jednak ci, którzy mniemają że to zwyczajny kamień, bowiem on już od stuleci obrastał legendami.

MIESZCZANIE LESCY

Kto chce niech wierzy, a kto nie, to nie. Dawniej w Myczkowcach taką opowiadano legendę o leskim kamieniu: Kiedy podjęto decyzję, że miasto Lesko ma być lokowane, powstał problem, skąd wziąć mieszczan dla nowego miasta. Bies Czulniasty, co od Lucypera na Lesko nadanie dostał, postanowił czym prędzej stanem mieszczańskim gród zaludnić. Najprościej było porwać kilku mieszczan i do Leska przenieść.

Gdzieś koło Sambora wypatrzył Czulniasty, jadącego drogą mieszczanina i jak zamierzył, tak natychmiast go porwał. Posługując się swoją czarcią mocą, niósł go niby wielki ptak do Leska. Aż tu nagle kur zapiał i czartowska moc opuściła biesa, a wraz z nią spadł na ziemię niesiony mieszczanin i natychmiast przemienił się w głaz.

Siedzi Czulniasty zafrasowany przy tym głazie i duma co tu dalej począć. Z nocnego sabatu wracała czarownica Gruszką zwana, co tu niedaleko miała chatkę na kurzej stopce. Widząc zafrasowanego biesa, zniżyła swój lot i wylądowała koło niego. Wypytała o przyczynę frasunku, po czym tak rzekła do niego:

— A nie turbuj się waszmość taką błahostką. Jest ci tu niedaleko, w Myczkowcach, moja druhna serdeczna, prośna locha. Weź ją sobie, a ona się waszeci mieszczanami uprosi.

I tak też się stało. Porwał Czulniasty ową świnię i niósł ją nad borem już prawie Leska dosięgając. Aż tu nagle jakiś kogut na Glinnem, nie wiadomo czemu, może we śnie, a może z przewidzenia jakiego, piać począł. No i zgodnie z tradycją, czarcia moc opuściła biesa, a wraz z nią i świnia w dół spada. Zaklął Czulniasty siarczyście, aż się niebo zachmurzyło. Patrzy w dół, a tam spadająca świnia zaczęła się prosić. Zanim upadła na ziemię, w miejscu gdzie wcześniej mieszczanin z Sambora zamienił się w głaz, zdążyła wydać siedem prosiąt. Ona sama upadłszy na wspomniany głaz, w głaz się zamieniła znacznie go powiększając. Ale prosiątka, szczęśliwie zetknąwszy się z ziemią, radośnie chrząkając, pobiegły w stronę Leska, tu osiadły i jak wieść niesie „bujnie się rozpleniły, w pracowite tego sławetnego grodu, mieszczaństwo".

Nie należy się przeto dziwić, że lescy mieszczanie, tak chętnie ten głaz odwiedzają, przecież tu ich początek, chociaż niezbyt przystojny, ale jakie to dzisiaj ma znaczenie, kiedy więcej w Lesku zawłoków niźli miejscowych.

KAMIENNA TĘSKNOTA

Jacek Pełka, ławnik miasta Leska, miał córkę Oleńkę. Urodziwa wielce była z niej dziewczyna, jasnowłosa i błękitnooka. A jak pięknie pieśni śpiewała, że i słowiki mogły się od niej uczyć. Rozmiłowała się Oleńka w Januszku Horwacie. Ojciec Januszka do Leska z Węgier przybył, tu się ożenił i ostał był kupcem winnym. Januszek także Oleńkę miłował, ale jego ojciec Marton, niechętnym okiem na to ich miłowanie spozierał. Źli ludzie gadali, że Oleńka jest płochą dzieweczkę i stary uwierzył w te plotki. Postanowił tedy, że Januszka do wojska odda, to może mu to miłowanie przejdzie.

Jak stary zamierzył, tak też uczynił. Rzeczpospolita wtedy z Moskwą wojowała i żołnierzy potrzebowała. Zaciągnął się Januszek, za rozkazaniem ojcowskim do wojska i poszedł pod Smoleńsk. Oleńce obiecał, że wróci, nie da się zabić ani do niewoli pojmać, na pewno wróci, a ona niech czeka. Może na wojnie się wzbogaci i wtedy o ojcowskie pozwolenstwo nie będzie już dbał. Oleńka przy rozstaniu płakała i przysięgała czekać, choćby nie wiem ile było trzeba.

Więc poszedł Januszek na wojnę, a Oleńka została. Nasi Smoleńsk zdobyli, takie wieści do Leska przywieźli kupcy. Ale potem w Moskwie coś złego się stało, nasi musieli ustąpić, a Januszek nie wracał z tej wojny. Chodziła Oleńka na ruski trakt, za Lesko i wypatrywała czy Januszek nie wraca. Napotkanych kupców rozpytywała, czy czego o powracających żołnierzach nie słyszeli.

Minęło już kilka lat. Konkurentów do ręki było wielu, ale Oleńka ich wszystkich z niczym odprawiła, a jak ojciec nalegali, to tak żałośnie płakała, że ojciec ustępowali. Nic, tylko o swoim Januszku myślała. Każdy wieczór chodziła za miasto i wypatrując Januszka, tak pięknie śpiewała swoje tęskne piosenki, że jadący ruskim traktem kupcy i podróżni, nie raz bywało przystawali, by posłuchać tego cudownego śpiewania.

Minęło już dziesięć lat. Wojna spod Moskwy przeniosła się na południe, przeciw Turkom. A o Januszku ani słychu, a Oleńka wciąż czeka. Coraz dłużej siedzi pod Leskiem i nawet na noc nie chce do domu wracać. Zdarzyło się wreszcie raz, że nie wróciła. Martwi się ojciec, zamartwia się matka. Postanowili pójść po Oleńkę. Kiedy przyszli na miejsce, gdzie zwykle była siadywała, nie zastali jej, ale ogromną skałę, której tu nigdy nie było przedtem. Więc to ich Oleńka, z tęsknoty, w tę skałę się przemieniła.

Zdarza się niekiedy, że można spotkać Oleńkę, tam pod tą skałą; ale zdarza się to tym, którzy prawdziwie kochają... Zapytacie, skąd ja to wszystko wiem? Kiedyś spotkałem Oleńkę i ona opowiedziała mi o swojej kamiennej tęsknocie.

DIABELSKI ZAMIAR UDAREMNIONY

Mieszczanie lescy, dawniej, bardzo pobożni byli. Łotrostwa żadnego w mieście, onego czasu nie uświadczył, choćby ze świecą szukał. A i wobec siebie życzliwi byli, miłując bliźnich jako siebie samych. Szczególną w tym zasługę mieli proboszczowie lescy, którzy słowo Boże, głosili mieszczanom z ambony kościoła.

Bies Czulniasty, to czartowskie nasienie, wielce był niekontent z takiego obrotu spraw. Nijak nie mógł dla siebie żadnej duszyczki pozyskać, chociaż wiele zabiegów wokół tego czynił. Postanowił tedy leski kościół zniszczyć. Umyślił sobie głaz olbrzymi wyszukać w górach i rzucić go na kościół. Znalazł taki głaz na Bukowym Berdzie i niósł go, wytężając całą swoją czartowską moc, do Leska.

Już, już donosił go do miasta, kiedy nagle nie wiadomo czemu, dzwon kościelny się ozwał. Sam się dzwon rozdzwonił. I skończyła się jego diabelska moc i musiał kamień upuścić. Upuścił go w miejscu, gdzie do dzisiaj leży. Zapobiegliwi mieszczanie, krzyż w kamień wetknęli, by odeszła biesowi ochota znów próbować swoich czarcich sztuczek. Cóż kiedy z czasem u mieszczan leskich uczciwość zmalała, chociaż kościół ocalał. A i bies Czulniasty po tym niefortunnym zdarzeniu, został odwołany do piekieł, gdzie dostał biurową robotę.

KŁOTLIWA MATKA

Paweł Masiewicz był cechmistrzem leskich piekarzy. Jego żona Marusia, dawniej bardzo miłe dziewczę, z czasem roztyła się na kołaczach, a im więcej jej sadła przybywało, tym więcej w niej było złości. Paweł rozlicznych obowiązków miał wiele, więc dużo poza domem przebywał, Marusia wtedy na uczniach i czeladnikach się wyżywała. Ciągle też miała zatargi ze swoją córką Ewunią. Zwlekała, mówiąc, że mężem zdąży się nacieszyć, a teraz chce jeszcze trochę wolności pozażywać. Bywało jednak, że często jej w domu wieczorami nie było i wracała późno, co matkę szczególnie złościło. Piekło czyniło się wtedy w domu cechmistrza, że aż strach powiedzieć.

Wyrzucała Marusia mężowi, że na córkę powinien mieć większe baczenie, a i rózgi jej nie żałować. Ojciec jednak pobłażliwy był dla Ewuni i nic zdrożnego nie widział w jej postępowaniu. Przypominał też Marusi, o ile pozwoliła mu dojść do słowa, że kiedy oni byli młodzi, to nieraz wieczorami spotykali się ukradkiem i żadnej w tym obrazy boskiej nie było. Marusia jednak nie dawała się przekonać i jeszcze bardziej awanturowała się, wrzeszcząc, że dzisiejsza młodzież jest gorsza i do grzechu bardziej skora.

Razu jednego, kiedy Ewunia długo nie wracała, matka w złości straszne przekleństwo na nią rzuciła, mówiąc:

— Abyś się w kamień zamieniła, tam gdzie jesteś!

I z czartowską pomocą, matczyne przekleństwo spełniło się co do joty. Ewunia zmieniona w głaz, do dzisiaj czeka pod Leskiem, na zdjęcie matczynego przekleństwa.

Jacko, który z Ewunią na spacerze był w ony czas, widząc jak dziewczyna zmienia się w głaz, z przerażenia zemdlał. A kiedy poranna rosa ocuciła go, przybiegł do miasta i napotkanym ludziom opowiedział o zdarzeniu, które do tej pory opowiadają sobie leszczanie i przekazują kolejnym pokoleniom.